

# Gwiazduś

## Oskar Wilde



calibre 0.9.27

# GWIAZDUŚ

Oskar Wilde

Było sobie raz dwu biednych drwali, którzy wracali do domu przez gęsty bór. Była zima i noc straszliwie mroźna. Śnieg grubą warstwą leżał na ziemi i na świerkowych gałęziach. Kiedy tak szli, mróz po obu ich stronach łamał kruche gałązki, a gdy przybyli do górskiej siklawy, zmarznięta woda wisiała w powietrzu bez ruchu, bowiem Król Lodu ucałował ją w usta.

Było tak zimno, że nawet zwierzęta i ptaki nie wiedziały, jak by tu sobie poradzić.

— Uu! — stękał wilk, kuśtykając przez krzaki z podwiniętym pod siebie ogonem.

— Cóż za potworna pogoda. Dlaczegoż rząd w to nie wejrzy?

— Uit, uit, uit! — ćwierkały zielone makolągwy.— Stara ziemia umarła, i oto ją położyli owiniętą całunem.

— Ziemia wychodzi za mąż, a to jej ślubna suknia — szeptały do siebie turkawki. Różowe ich nóżki były zmarznięte na kość, ale turkawki uważały sobie za obowiązek spojrzeć na rzecz od strony romantycznej.

— Bzdura — mruknął wilk. — A ja wam powiadam, że to wina rządu. Jeśli mi nie wierzycie, to was zjem. — Wilk był stworzeniem na wskroś praktycznym i nigdy mu nie brakowało argumentów.

— Co do mnie — powiedział dzięcioł, urodzony filozof — to tyle dbam o wyjaśnienie, co pies o piątą nogę. Tak jest, jak jest — a jest piekielnie zimno.

Było naprawdę piekielnie zimno. Wiewiórki, które mieszkały w dziupli wysokiego świerka pocierały sobie wzajemnie noski, żeby się zagrzać, a króliki skulone w swoich jamach nie ośmieliły się nawet wyjrzeć za próg. Jedynie długouchy sowy rade były takiej pogodzie. Ich pióra zeszywniały od szronu, ale sówom to bynajmniej nie przeszkadzało i przewracając żółtymi oczami pohukiwały do siebie poprzez las: — U-hu, U-hu! Co za cudowna pogoda!

A drwale szli i szli krzepko dmuchając w palce i brodząc ciężko okutymi butami w zmarzniętym śniegu. Raz zapadli się w zaspę i wyszli z niej biali niby młynarze, gdy mielią mąkę. Innym znów razem takiego kozła machnęli na twardym i śliskim lodzie zamarzniętego bagna, że im się chrust rozsypał i musieli go zbierać i wiązać w nowe wiązki. Znów kiedy indziej zdało się obu drwalom, że zabłądzili w lesie i strach ich zdjął, bo dobrze wiedzieli, jaki okrutny jest śnieg dla wędrowców, którym wypadnie usnąć w jego ramionach. Oddali się jednak w opiekę poczciwego świętego Marcina, który czuwa nad podróżnymi, zawrócili z drogi i dalej już szli ostrożnie. Doszli nareszcie do skraju lasu i stąd daleko w dolinie ujrzeli światółka wioski, w której mieszkali.

Tak byli radzi ze swego wyzwolenia, że zaczęli się głośno śmiać. Ziemia wydała im się teraz niby kwiat srebrny, a księżyc jak złoty kwiat.

Gdy się już naśmiali do syta, zrobiło im się markotno, gdyż przypomnieli sobie o swojej biedzie — i jeden z nich rzekł do drugiego:

— Nie wiem, po co się tak weselić, skoro wiadomo, że świat należy do bogatych, a nie do takich jak my! Byłoby lepiej, żebyśmy gdzie zamarzli w tym lesie, albo żeby nas napadł jaki zwierz i pożarł bez ceremonii.

— Święta prawda — powiedział drugi drwal. — Jednym się przelewa, a drugim nie dostaje. niesprawiedliwość podzieliła świat i nic oprócz trosk Judzie nie dziela po równi.

Kiedy tak biadolili nad swoją niedolą, nagle stało się coś przedziwnego. Z nieba spadła mianowicie jasna i piękna gwiazda. Ześliznęła się w dół nieboskłonem mijając w locie inne gwiazdy, a drwalom zapatrzonym w jej lot zdawało się, że upada za małą kępą wierzb, o rzut kamieniem od owczego szałas.

— Gar złota, kto ją znajdzie — zawołali i nuże biec do gwiazdy, tak się im chciało tego złota.

Jeden biegł jednak szybciej niż jego kompan, toteż go wkrótce minął i dalejże ku wierzbom. Gdy już je miał za sobą — patrzy, a tu rzeczywiście kawałek złota leży na białym śniegu. Poskoczył tedy ku złotu i nachyliwszy się, porwał je w obie ręce. Był to płaszczyk z poźlocistej tkaniny, dziwnie usiany gwiazdkami i mocno pofałdowany. Zawołał tedy drwal do towarzysza, że znalazł niebieski skarb, a kiedy tamten dobiegł, usiedli obaj na śniegu i jęli rozwijać fałdy, by się podzielić złotem. Niestety, w płaszczu nie było ani złota, ani srebra, ani w ogóle żadnego skarbu — ale śpiące dzieciątko.

I rzekł jeden do drugiego:

— Taki to koniec naszych nadziei. Nie mamy szczęścia, bo cóż za korzyść z dziecka! Lepiej zostawmy je tutaj i chodźmy w swoją drogę. Wiadomo, żeśmy biedacy i że mamy w chałupie własne dzieciaki. Chleb ich nie dla obcego.

Ale drugi mu odparł:

— Jakże to! Przecież to grzech tak dziecko porzucić w śniegu, żeby zmarniało. Biedak jestem jak ty, niejedną mam gębę do wykarmienia, a w garnku tyle co nic, ale je wezmę do domu. Już się tam żona nim jakoś zaopiekuje.

Wziął czule dziecko na ręce, dobrze je płaszczem owinął, żeby nie zmarzło na zimnie i ruszył stokiem do wioski, a jego towarzysz nie mógł się nadziwić takiemu szaleństwu i miękkości serca.

Kiedy przyszli do wioski, rzekł do niego kompan:

— Ty masz dziecko, to daj mi płaszcz, bośmy się ugodzili, że się będziemy dzielić...

Drwał jednak odparł:

— Płaszcz ani twój, ni mój — ale dziecka — a powiedziawszy towarzyszowi — z Bogiem — podszedł do domu i zapukał.

Otworzyła mu żona, a skoro zobaczyła, że to mąż zdrów i cały, zarzuciła mu ręce na szyję i mocno go ucałowała. Zdjęła mu potem z pleców wiązkę chrustu, śnieg otrzepała z butów i poprosiła, by wszedł.

Ale drwał odrzekł:

— Cosik w lesie znalazłem i oto ci przynoszę, a ty już zrób, co trzeba — i nie ruszył się z proga.

— Cóż to takiego — zawołała. — Pokaż co prędejsz, bo izba pusta i wiele nam potrzeba. — Drwał odkrył płaszcz i pokazał jej śpiące dzieciątko.

— Boże ty mój — wyszeptała. — Małoż to mamy własnych dzieciaków, a ty mi jeszcze przynosisz takiego odmienca i miejsce mu z nami koło komina szykujesz? Któż wie, jeszcze nam jakiej biedy napyta! Co mu dasz jeść? — i gniew ją ogarnął na męża.

— To przecie synek gwiazdy... Gwiazduś — odparł jej drwal i opowiedział żonie, w jaki to dziwny sposób znalazł dzieciaka.

Kobieta jednak nie dała się ugłaskać, lecz podrwiwała z niego, wykrzykując gniewnie:

— Nasze dzieciśka nie mają chleba, a ty chcesz karmić obce? Któż to się o nas martwi? Kto nam jeść daje?

— Pan Bóg się troszczy nawet o wróble, i jakoś je żywi — odparł drwal.

— A zimą, to niby kto głodem przymiera jak nie wróble? — zapytała. — A teraz zima. — Mąż nic nie odpowiedział i od progu krokiem się nie ruszył.

Tymczasem powiał od boru ostry wiatr, aż się niewiasta zatrzęsła i drżąc na całym ciele powiedziała:

— Może byś zamknął drzwi. Ziąb idzie w izbę — i na mnie.

— W izbie, gdzie serce z kamienia, zawsze panuje ziąb — powiedział drwal, a kobieta nic na to nie odrzekła, jeno się bliżej posunęła ku kominowi.

Po chwili odwróciła się wolno, spojrzała na męża a oczy jej wypełniły się łzami. Drwal podbiegł do niewiasty i podał jej dziecko. Ucałowała je i wraz ułożyła w łóžeczku, w którym leżało ich najmłodsze dzieciątko. Nazajutrz rano drwal schował do skrzyni dziwny, złocisty płaszcz, a jego żona zdjęła ze szyi dziecka bursztynowy naszyjnik i również schowała go do skrzyni.

Tak więc Gwiazduś wychowywał się z dziećmi drwala, stół z nimi dzielił i był im towarzyszem zabaw. Z roku na rok chłopiec piękniał w oczach, tak że mieszkańcy wioski nie mogli wyjść z podziwienia, bo jeśli sami odznaczeni byli śniadą skórą i mieli czarne włosy, chłopiec był i białutki i delikatny niby toczona kość słoniowa, a jego loki były podobne złocistym kryzom żonkila. Usta przypominały płatki czerwonego kwiatuszka, oczy modre fiołki nad czystym strumieniem, a ciało tak się bielilo jak łan narcyzów na nie koszonej łące.

Gładkość pięknego liczka rzucała jednak na chłopca jakiś niedobry czar. Gwiazduś robił się pyszny, okrutny i samolubny. Dziećmi drwali a także innymi dziećmi z wioski otwarcie pogardzał mówiąc, że były podłego stanu, sam zaś niby szlachcic i potomek niebieskiej gwiazdy mianował się ich panem, dzieci nazywając swą służbą. Nie miał litości dla biednych, ślepych i chromych czy w jakikolwiek sposób ułomnych. Obrzucał ich kamieniami, przepędzał na gościniec, każąc im zebrać gdzie indziej,

tak że wkrótce ani jeden włóczęga nie ośmielił się po raz wtóry zawitać do wioski z prośbą o jałmużnę. Podobny był człowiekowi zakochanemu w piękności, co drwi ze słabych i szpetnych żarty sobie z nich strojąc. Siebie natomiast kochał i latem, w pogodny dzień, pochylony nad studnią w proboszczowym ogrodzie, godzinami podziwiał odbicie swych lic, śmiejąc się i radując, że taki był piękny.

Często drwał i jego żona strofowali chłopca, mówiąc:

— My nie tak postępujemy z tobą, jak ty postępujesz z tymi, co opuszczeni nie mają nikogo ku swojej pomocy. Czemuś taki okrutny dla ludzi godnych litości?

Często posyłał po niego stary proboszcz i próbował go uczyć miłości dla wszystkiego, co żyje.

— Mucha jest twoją siostrą — powiadał. — Nie rób jej krzywdy. Ptaki, co sobie latają po lesie, też mają swoją wolność. Nie łap ich dla własnej przyjemności. Bóg stworzył i padalca, i kreta. Każdy ma — widzisz — swoje miejsce, a któż ty jesteś, co jeno ból przynosisz w świat bożego stworzenia? Nawet było na polu chwali Boga, jak umie.

Gwiazduś nie słuchał jednak ich słów, marszczył tylko brwi i uśmiechał się drwiąco, po czym wracał do swych towarzyszy i po staremu im przewodził. A dzieci za nim szły, bo był piękny i bystry w nogach, bo umiał tańczyć i grać na fujarce czy innych instrumentach. Gdziekolwiek Gwiazduś się ruszył, dzieci za nim krok w krok, cokolwiek Gwiazduś rozkazał, czyniły bez wahania. Gdy trzcina ostrego sitowia wykłuwał oczy kretom — śmiały się. Kiedy kamieniem cisnął w trędowatego — także się śmiały. We wszystkim dzieciom przewodził, aż serca dzieci, jak jego, stały się twardsze niż kamień.

Pewnego dnia przechodziła przez wioskę stara żebraczka. Suknie miała w łachmanach i strzępach, stopy skrwawione od twardych dróg, którymi przeszła, słowem — było z nią bardzo źle. Znużona, usiadła pod kasztanem, żeby trochę wypocząć.

Kiedy Gwiazduś ją ujrzał, wraz zawołał do dzieci:

— Patrzcie! ta brudna żebraczka siedzi tutaj pod pięknym, zielonym drzewem. Wygońmy ją stąd, bo brzydka i koślawa.

A potem podszedł bliżej i rzucał na nią kamienie i bez litości drwił. Żebraczka patrzyła nań z przerażeniem w oczach nie mogąc wzroku oderwać od chłopca. Gdy drwał, który w pobliskim ogrodzeniu rąbał drzewo, zobaczył, co jego Gwiazduś wyprawia, przybiegł pod kasztan, zwymyślał

chłopca i rzekł:

— Musisz naprawdę być bez litości i serce mieć twarde jak gład, bo cóż ci zawiniła ta biedna kobiecina, że ją tak podle traktujesz?

A Gwiazduś aż poczerwieniał ze złości i tupnął nogą o ziemię:

— Któżes ty taki, że mnie pytasz, co robię? Nie jestem twoim synem i wcale nie muszę cię słuchać.

— Prawdę mówisz — odparł drwał — a jednak to ja okazałem ci litość, kiedym cię znalazł w lesie.

Kiedy niewiasta usłyszała te słowa, wydała głośny okrzyk i upadła zemdloła. Drwał zaniósł ją do domu a jego żona nie poskąpiła jej swej opieki. Gdy się na dobre ocknęła, gospodarze postawili przed nią jadło i napitek prosząc, żeby się rozgościła jak u siebie.

Żebraczka nie chciała jednak ani jeść, ani pić, lecz zwróciła się do drwala z pytaniem:

— Czy nie mówiłeś, żeś dziecko znalazł w lesie? I czy to przypadkiem nie było dziesięć lat temu?

Na co drwał odparł:

— Tak jest, znalazłem je w lesie i było to akurat dziesięć lat temu.

— A jakie znaki przy nim znalazłeś? — zawołała. — Czy aby nie miał na szyi naszyjnika z bursztynów? A może był owinięty w płaszczek ze złotej tkaniny haftowanej gwiazdami?

— Prawda — odpowiedział drwał. — Tak właśnie było, jak mówisz. — Po czym wyjął ze skrzyni naszyjnik bursztynowy i płaszcz, i pokazał je żebraczce.

Żebraczka na ich widok zapłakała z radości:

— Tak, to mój mały synuś, którego zgubiłam w lesie. Prędko go tutaj sprowadź, bom za nim przewędrowała cały ogromny świat.

Drwał wyszedł z żoną przed dom, a przywoławszy Gwiazdusia, rzekli do niego:

— Wracaj, dziecko, do domu, a znajdziesz matkę, która na ciebie czeka.

Chłopiec pobiegł do izby wielce uradowany i pełen zdziwienia. Gdy jednak zobaczył tę, która w izbie czekała, zaśmiał się i zapytał z szyderstwem:

— Jak to? A gdzież jest moja matka? Bo tutaj widzę tylko tę obrzydliwą żebraczkę.

Niewiasta odpowiedziała:

— Ja jestem twoją matką.

— Chybaś szalona, jeśli tak mówisz — wykrzyknął z gniewem Gwiazduś. — Nie jestem twoim synem, boś ty żebraczka, paskudna żebraczka w łachmanach. Wynoś się stąd, i niech cię więcej nie widzę.

— Nie, nie! Tyś jest naprawdę mym synem, którego urodziłam w lesie — zawołała żebraczka i padłszy na kolana wyciągnęła ku niemu ręce. — Zbóje mi cię porwali i porzucili na zgubę — jęknęła boleśnie. Ale ja cię poznałam od pierwszego wejrzenia i znaki także poznałam — twój płaszcz ze złotej materii i twój naszyjnik z bursztynów. Dlatego błagam, chodź ze mną, bom zbiegła cały świat, by cię odnaleźć. Chodź, synku, chodź, bo mi trzeba i ciebie, i twego kochania.

Lecz Gwiazduś ani drgnął i jakby zamknął przed nią wrota swojego serca. W, izbie słyhać było tylko szlochanie niewiasty, która płakała ,z żalu.

Wreszcie Gwiazduś przemówił, a głos jego brzmiał twardo i gorzko.

— Jeśli naprawdę jesteś moją matką — byłoby lepiej, żebyś sobie została tam, skąd cię tu przyniosło, a nie przychodziła, by mi narobić wstydu! Myślałem, że jestem synem jakiejś gwiazdy, a nie żebraczki, jak mi to mówisz... Dlatego wynoś się stąd, i niech cię więcej nie widzę!

— O synku, o syneczku — zapłakała żebraezka. — Może mnie chociaż pocałujesz, zanim odejdę! Tak bardzo, widzisz, cierpiałam, żeby cię znaleźć

— Nie — odpowiedział Gwiazduś. — Nadto mi jesteś szpetna. Wolałbym zmiję pocałować albo ropuchę — niż ciebie!



Niewiasta podniosła się z klęczek i poszła w las płacząc gorzko. Gwiazduś zadowolony, że się jej pozbył, wrócił do swoich towarzyszy i do przerwanej zabawy.

Dzieci, zobaczywszy chłopca, odwróciły się odeń z szyderstwem:

— Jesteś paskudny jak ropucha i obrzydliwy jak żmija. Wynoś się stąd, bo wcale nie mamy ochoty się z tobą bawić! — I przepędziły go z ogrodu. A Gwiazduś zmarszczył brwi i rzekł do siebie:

— Cóż to mi tutaj mówią! Pójdę do studni i spojrzę w wodę, a ona na pewno mi powie, że jestem piękny.

I poszedł prosto do studni i spojrział w wodę...

O Boże! Twarz jego była niby gęba ropuchy, a ciało pokryte łuskami jak ciało żmii. Więc rzucił się na trawę i zapłakał. — Teraz już wiem. To mnie spotkało za mój grzech. Bo matki się zapałem, bo ją wygnałem i dumny byłem dla niej i okrutny. Dlatego pójdę jej szukać po całym świecie i nie spocznę, póki jej nie odnajdę.

I oto podeszła do niego córeczka drwala. Położyła mu rączkę na ramieniu i rzekła:

— To nic, żeś stracił swój piękny wygląd. Zostań z nami. Ja się nie będę z ciebie śmiała.

A Gwiazduś jej odpowiedział:

— Byłem okrutny dla mojej matki i oto jako kara spadło na mnie nieszczęście. Dlatego muszę stąd odejść i wędrować przez świat, póki nie znajdę matki i póki mi nie przebaczy.

I pobiegł do lasu wołając — Matko — wróć — ale wołał na próżno. Cały dzień wołał i wołał, a kiedy zaszło słońce, ułożył się do snu na pościółce z liści. Ptaki i leśne zwierzęta uciekały od niego, pamiętając, jaki był dla nich okrutny. Został więc sam i nie było przy nim żywego stworzenia oprócz ropuchy, która nad nim czuwała i gnuśnej żmii, która z szelestem przesunęła się obok.

Bankiem, po przebudzeniu, chłopiec nazbierał w krzakach garść gorzkich jagód; zjadł je i dalej ruszył przez las zalewając się łzami.. Kogo tylko napotkał, pytał, czy też przypadkiem nie widział kto jego matki.

I rzekł do kreta:

— Lubisz wędrować pod ziemią. Powiedz mi, krecie, czyś tam nie spotkał mej matki?

A kret mu odparł:

— Oślepiłeś mi oczy. Skądże mam wiedzieć? I rzekł do makolągwy:

— Latasz nad wierzchołkami wysokich drzew i możesz stamtąd widzieć cały świat. Gzy nie widziałaś przypadkiem mej matki?

A makolągwa odrzekła:

— Skrzydłaś mi podciął dla zabawy, więc jakże teraz mam latać?

I wreszcie rzekł do wiewiórki, która mieszkała w pniu świerka i była samotna:

— Powiedz mi, wiewióreczko, gdzie też jest moja matka?

A wiewiórka odparła:

— Zabiłeś moją matkę. Gzy i swoją chcesz zabić? I rozplakał się Gwiazduś i głowę schylił prosząc

o przebaczenie bożego stworzenia, po czym znów ruszył w drogę i dalej szukał żebraczki. Na trzeci dzień dotarł do skraju boru i począł schodzić w dolinę.

Gdy mijał wioski, dzieci naigrawały się z niego ciskając weń kamieniami, a chłopcy nawet w stodole nie pozwolili mu się przespać z obawy, żeby im zboże nie zapleśniało, bo tak paskudnie wyglądał. I parobczacy przepędzili go precz i nie było nikogo, kto by się nad nim zlitował. Gwiazduś nigdzie też nie usłyszał ani słóweczka o matce, która była żebraczką, choć przez trzy lata wędrował od wioski do wioski. Często mu się nawet zdawało, że ją widzi przed sobą i wtedy za nią biegł i wołał, aż ostry żwir pokaleczył mu stopy. Nie mógł jej jednak dogonić, a ci, którzy mieszkali obok drogi, stwierdzali zgodnie, że ani jej nie widzieli, ani nikogusieńko, kto by był do niej podobny i jeszcze się natrzęsali z jego żalości.

Trzy lata wędrował przez świat, ale na świecie nie znalazł ani miłości, ani dobroci serca, ni słowa miłosierdzia, bo to był taki świat, jaki sobie zbudował w dniach swojej pychy.

Pewnego wieczora stanął u bramy miasta, którego mury wznosiły się nad rzeką. Mimo że był znużony i ledwie nogami powłóczył, chciał jednak wejść do miasta. Ale żołnierze, którzy stali na straży, wraz opuścili swe halabardy zabraniając mu wejścia i szorstko zapytali:

— Czego tu szukasz?

— Szukam mej matki — odpowiedział — i proszę, raczcie mnie wpuścić, bo może ona tu jest.

Żołnierze wyśmiali jednak chłopca, a jeden z nich potrząsnął brodą, tarczę postawił na ziemi i rzekł:

— Prawdę mówiąc, to ta twoja matka nie bardzo się chyba ucieszy na twój widok, boś bardziej pokraczny niżli ropucha w błocie albo i żmija, co pełza przez bagnisko. Wynoś się zatem i niech cię nie widzę. Matki twojej tu nie ma.

Inny znów, który trzymał w ręku żółty proporzec, odezwał się do chłopca:

— A któż to jest ta twoja matka, i dlaczego jej szukasz?

A chłopiec odparł:

— Matka moja jest żebraczką podobnie jak i ja. Bardzo nieładnie się z nią obszedłem, a teraz proszę, puśćcie mnie do miasta, bym mógł uzyskać jej przebaczenie, jeśli tu oczywiście przebywa. — Żołnierze jednak nie chcieli go wpuścić i skłuli go swymi włóczniami.

Gdy chłopiec zawrócił płacząc, nadszedł od bramy jakiś żołnierz, którego zbroja ozdobiona była pozłoci stymi kwiatami, a hełm skrzydlatym lwem— i spytał straży, kto to chciał wejść do miasta. Żołnierze odpowiedzieli:

— To żebrak i syn żebraczki, więcemy go przegnali.

— O, nie! — odparł ten w zbroi — lepiej taką paskudę sprzedać jak niewolnika. Cena — ot, czarka wina. Czarka słodkiego wina!

A jakiś starzec o niedobrym obliczu, który właśnie przechodził, zawołał do żołnierzy:

— Za taką ceną nie kupię — i, zapłaciwszy okup, wziął Gwiazdusia za rękę i wszedł z nim do miasta.

Gdy już minęli sporo ulic, doszli do małych drzwiczek osadzonych w murze ukrytym w liściach granatu. Starzec dotknął drzwi pierścieniem z rżniętego jaspisu i drzwi się otwarły. Po pięciu miedzianych stopniach zstąpili do ogrodu, w którym pełno było czarniawych maków i zielonkawych urn z palonej gliny. Starzec wydobył teraz z turbana jedwabną wzorzystą chustkę, związał Gwiazdusiowi oczy i pognął chłopca przed sobą. Gwiazduś, kiedy mu zdjęto chustę, ujrzał, że jest w ciemnicy, oświetlonej latarnią o szybkach z rogu.

Starzec położył przed nim na ławie kawałek spleśniałego chleba i rzekł mu: — jedz — po czym postawił kubek słonawej wody i rzekł mu: — pij. — Gdy chłopiec zjadł i wypił, starzec wyszedł zamykając za sobą drzwi, które umocnił żelaznym łańcuchem.

Nazajutrz rano wszedł do ciemnicy starzec, który w rzeczywistości był jednym z najchytrzej szych w Libii czarodziejów, a sztuki swej się wyuczył od kogoś, kto żył w grobowcach nad Nilem. Spojrzał na chłopca spode łba i rzekł:

— W pobliskim lesie, tuż za bramami miasta Giaurów są trzy kawałki złota. Jeden — to białe złoto, drugi — żółte, a trzeci czerwone. Dziś mi przyniesiesz białe, A jeśli mi nie przyniesiesz, wiedz, że cię czeka sto batów. Uwiń się zatem szybko, a ja o zachodzie słońca będę na ciebie czekał u wrót ogrodu; Pamiętaj o białym złocie, bo inaczej źle z tobą. Jesteś mym niewolnikiem, a zapłaciłem za ciebie czarkę słodkiego wina. — Co powiedziawszy związał Gwiazdusiowi oczy chustką ze wzorzystego jedwabiu i poprowadził go najpierw przezdom, potem przez grzędy maku i pięć miedzianych schodów. Starzec otwarł następnie drzwi czarodziejskim pierścieniem i wypuścił chłopca na ulicę.

Gwiazduś wyszedł za bramę miasta i wnet dotarł do lasu, o którym mówił czarodziej. Las pięknie wyglądał na oko i zdał się być pełny i ptaków śpiewających, i kwiatów słodko pachnących, toteż Gwiazduś z radością się w nim pograżył. Jednak piękność lasu nie wiele mu przyniosła korzyści. Gdziekolwiek stąpił, spod nóg wystrzelały mu ciernie i głogi, które go oplatały, pokrzywa parzyła mu stopy, a oset sztyletami kolców przebijał skórę na wskroś. Gwiazduś był bliski rozpacz. Nigdzie nie mógł znaleźć bryłki białego złota, o której mówił czarodziej, choć szukał go od rana do południa i od południa do wieczora. Wieczorem zwrócił się ku domowi gorzko płacząc, bo wiedział, jaki go los oczekuje.

Gdy doszedł do skraju lasu, usłyszał w gęstwinie krzyk, jak gdyby kogoś spotkała zła przygoda. Zapominając o własnym zmartwieniu Gwiazduś pospieszył w tę stronę i ujrzał zajączka schwytanego

w sidła, które zastawił myśliwy. Gwiazduś zlitował się nad zajączkiem, uwolnił go z sideł i rzekł:

— Sam jestem tylko niewolnikiem, lecz mimo to dają ci wolność.

A zając odpowiedział:

— Dałeś mi rzeczywiście wolność, czym ci więc mogę odpłacić? — I rzekł mu Gwiazduś:

— Szukam kawałka białego złota, którego nie mogę znaleźć. Jeśli go nie przyniosę do domu, mój pan mnie zbije.

— Chodź ze mną — powiedział zając. — Zaprowadzę cię do tego złota, bo wiem, gdzie jest ukryte i w jakim celu.

Poszedł więc Gwiazduś z zajączkiem — i patrzcie!

— w dziupli starego dębu ujrzał kawałek złota, którego szukał. Uradowany, pochwycił w ręce złoto i rzekł do zajączka:

— Przysługę, którą ja ci oddałem, wynagrodziłeś mi wielokrotnie, a dobroć, którą ci okazałem, spłaciłeś mi po stokroć.

— Mylisz się — . odparł zajączek. — Ja tylko postąpiłem z tobą, jak tyś postąpił ze mną — i uciekł w las, a Gwiazduś ruszył do miasta.

U bramy miejskiej zasiadł tymczasem człek trędowaty. Na twarzy miał jakby kaptur z szarego płótna, przez którego otwory oczy trędowatego żarzyły się jak czerwone węgielki. Gdy ujrzał nadchodzącego chłopca, zaczął bębnić w drewnianą miskę, kołatać kołatką i nawoływać żałośnie:

— Daj mi jakiś pieniążek, inaczej umrę z głodu. 2li ludzie wyrzucili mnie z miasta i nikt nie ma dla mnie litości.

— Niestety — odparł Gwiazduś — mam tylko jedną sztukę złota w moim mieszk. Jeśli jej nie przyniosę do domu, mój pan mnie zbije, bo jestem niewolnikiem.

Lecz trędowaty tak długo nalegał i prosił, aż Gwiazduś zdjęty litością dał mu swe białe złoto. Gdy wrócił do domu czarodzieja, starzec otworzył mu drzwi, wprowadził go do izby i rzekł:

— Masz białe złoto? A Gwiazduś odparł:

— Nie mam. — Czarodziej poskoczył tedy ku chłopcu, zbił go i, postawiwszy przed nim pustą miszkę, rzekł: — Jedz — a potem pusty kubek, rzekł: — Pij — i wtrącił go do ciemnicy.

A następnego ranka znów go czarodziej odwiedził i dał mu nowe zlecenie:

— Jeśli mi dziś nie przyniesiesz bryłki żółtego złota, dostaniesz trzysta kijów, jak przystało na niewolnika.

I poszedł Gwiazduś do lasu i cały dzień szukał złota, lecz nigdzie nie mógł go znaleźć. Gdy słońce zaszło, usiadł na trawie i zaczął płakać. Kiedy tak płakał, podszedł do niego zajacek, ten sam, którego wczoraj uwolnił od sideł.

I spytał go zajac:

— Czemu tak płaczesz i czego szukasz w lesie? A Gwiazduś odpowiedział:

— Szukam żółtego złota, które jest tutaj ukryte, a jeśli go nie znajdę, mój pan mnie zbije i potraktuje mnie tak, jak przystało na niewolnika.

— Chodź ze mną — zawołał zajac. Pobiegli tedy przez las, aż doszli do sadzawki. Na dnie sadzawki leżała bryłka złota.

— Jak ci mam podziękować? — zapytał Gwiazduś. — Przecież to już drugi raz mi pomogłeś.

— Nie — odpowiedział zajacek. — To tyś się pierwszy nade mną zlitował — i spiesznie uciekł do lasu.

Gwiazduś wydobył z wody bryłkę żółtego złota, włożył ją do woreczka i szybko ruszył do miasta. I znowu spotkał trędowatego, który mu wyszedł naprzeciw i uklękawszy wołał:

— Daj mi jaki pieniążek, inaczej umrę z głodu. A Gwiazduś odpowiedział:

— Mam w swoim mieszkaniu tylko bryłeczkę złota i jeśli jej nie przyniosę, mój pan mnie zbije i potraktuje mnie tak, jak przystało na niewolnika.

Lecz trędowaty tak długo nalegał i prosił, aż Gwiazduś, zdjęty litością, dał mu swe żółte złoto. Gdy wrócił do domu czarodzieja, starzec otworzył mu drzwi, wprowadził go do izby i rzekł:

— Masz żółte złoto? — A Gwiazduś odparł:

— Nie mam. — Czarodziej poskoczył tedy ku chłopcu, zbił go, okuł w łańcuchy i wtrącił do ciemnicy.

A następnego ranka znów go czarodziej odwiedził i rzekł:

— Jeśli mi dzisiaj przyniesiesz czerwone złoto, obdaruję cię wolnością, lecz jeśli go nie przyniesiesz, ubiję cię jak psa.

I poszedł Gwiazduś do lasu, i cały dzień szukał złota, i nigdzie nie mógł go znaleźć. Gdy słońce zaszło, usiadł na trawie i zaczął płakać. Kiedy tak płakał, podszedł do niego zajac.

I rzekł mu zajaczek:

— Czerwone złoto, którego szukasz, jest za tobą: w jaskini. Nie płacz i bądź dobrej myśli.

— Jakże cię wynagrodzę — zawołał Gwiazduś. — To już trzeci raz mi pomagasz!

— O, nie! Tyś się zlitował pierwszy! — odpowiedział zajaczek i zniknął w lesie.

Gwiazduś wszedł do jaskini i w jej najdalszym kącie znalazł czerwone złoto. Włożył je tedy do mieszka i szybko ruszył ku miastu. I znowu człek trędowaty na widok chłopca stanął pośrodku drogi i zaczął błagać:

— Daj mi czerwony pieniążek, inaczej umrę z głodu. — Gwiazduś zlitował się nad nim i dał mu swoje złoto, mówiąc:

— Tobie go bardziej trzeba niż mnie — choć ciężko mu było na sercu, bo wiedział, co go czeka.

Lecz cóż to! Gdy tylko przeszedł przez bramę, strażnicy skłonili się w pas oddając mu honory i szepcząc: „Jak piękny jest nasz pan!” A tłum mieszkańców miasta, który mu krok w krok towarzyszył, wykrzykiwał radośnie: „Zaiste piękniejszego nie masz na całym świecie!” Gwiazduś przełykał łzy i mówił sobie w duchu: „Śmieją się ze mnie, naigrawają się z mojej biedy.” A tłum był tak nieprzebrany, że Gwiazduś zmylił drogę i w końcu stanął wśród placu, na którym wznosił się zamek królewski.

I oto brama pałacu rozwarła się na oścież i tłum kapłanów i miejskich dygnitarzy wybiegł naprzeciw chłopca. A pokłoniwszy się przed nim w te słowa się odezwali:

— Ty jesteś naszym panem tak długo oczekiwany i synem naszego króla.

A Gwiazduś im odpowiedział:

— Nie jestem synem królewskim, lecz dzieckiem ubogiej żebraczki. Dlaczego nazywacie mnie pięknym, gdy przecież wiem, że widok mój sprawia przykrość?

Natenczas ów, którego zbroja ozdobiona była pozłocistymi kwiatami, a hełm skrzydlatym lwem — podniósł swą tarczę i zawołał:

— Jakże mój pan może twierdzić, że nie jest piękny? Gwiazduś przejrzał się w tarczy — i, Boże! — jego

twarzyczka znów była taka jak dawniej i dawna piękność wróciła mu na lica. W swych oczach zobaczył jednak coś, czego nigdy przedtem nie widział. Kapłani i miejscy dygnitarze padli przed chłopcem na klęczki i rzekli:

— Przepowiadano od dawna, że dzisiaj przyjdzie ten, kto będzie nami rządził. Dlatego weźmij, o panie, i tę koronę i berło, i w łasce swej i sprawiedliwości bądź odtąd naszym królem. Lecz Gwiazduś odpowiedział:

— Nie jestem godzien tego zaszczytu, bowiem zapałem się matki, która mnie urodziła, i — wiedzcie — póty nie spocznę, póki jej nie odnajdę i nie uzyskam jej przebaczenia. Pozwólcie więc, że odejdę, bo trzeba mi dalej wędrować przez cały świat a zostać mi tu nie wolno, choć mi dajecie i berło, i koronę królewską.



Mówiąc to Gwiazduś odwrócił lica ku drodze, co wiodła ku bramom miasta. Nagle wśród tłumu gapiów otaczających żołnierzy ujrzał oto żebraczkę, która była mu matką. Obok żebraczki stał trędowaty, ten, co zwykle siadywał na drodze u miejskiej bramy.

Okrzyk radości wydarł się teraz z ust chłopca. Gwiazduś podbiegł do matki, upadł na kolana i długo całował rany jej stóp i obmywał je łzami. Leżąc w prochu i łkając, jakby mu serce miało pęknąć, chłopiec mówił do matki:

— Matko, wyparłem się ciebie w godzinie mojej pychy. Przyznaj się do mnie w godzinie mego upokorzenia. Dałem ci, matko, nienawiść. Ty daj mi miłość. Odrąciłem cię, matko. Przyjmij twój syna. — Żebraczka jednak nie odezwała się słowem.

Gwiazduś wyciągnął ręce i objął białe stopy trędowatego. — Trzykroć się zlitowałem nad tobą— rzekł. —Uproś mą matkę, by do mnie przemówiła. — Lecz trędowaty nie odezwał się słowem.

Chłopiec znowu zapłakał: — Matko cierpię nad siły. Daj mi swe przebaczenie i pozwól, że wrócę do lasu.

A matka dłoń położyła na jego głowie i rzekła: — Wstań. — I trędowaty dłoń mu położył na głowie i również rzekł: — Wstań.

I powstał Gwiazduś z klęczek, i oczom nie mógł uwierzyć. Przed nim stał król i królowa. I rzekła do niego królowa:

— Oto twój ojciec, którego wsparłeś jałmużną. I rzekł do niego król:

— Oto twa matka, której stopy obmyłeś łzami.

I pochwycili chłopca w ramiona, ucałowali go z serca i wraz do pałacu powiedli, po czym, przybrawszy pięknie, na skroń włożyli mu koronę i w rękę oddali berło. Królował odtąd miastu, co się wznosiło nad brzegiem rzeki, i był jego panem.

Dla wszystkich swoich poddanych był sprawiedliwy i miłosierny, a złego czarodzieja kazał wypędzić z miasta. Drwalowi i jego żonie posłał moc podarunków i nie poskąpił ich dzieciom co najprzedniejszych zaszczytów. Nigdy też nie dopuścił, żeby ktokolwiek w mieście mógł być okrutny dla ptaków czy innych zwierząt, lecz nauczał miłości, dobroci i miłosierdzia, chleb rozdając ubogim i odziewając nagich. Kraj, któremu był królem, zażywał słodkich dni pokoju i dobrobytu.

Niedługo jednak królował. Cierpienia, których doznał, były zbyt wielkie, a ogień próby do szczętu go wyniszczył. Gwiazduś zmarł po trzech latach, a ten, co po nim tron objął, królował źle.

Przygotowano na podstawie [bookini.pl](http://bookini.pl)